



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Andrzej Maliszewski

Konspiracja

Sam tytuł wspomnień określa, że nie są to najmiłsze chwile życia. Dzieciństwo – chwile bez troski, wojna – głód i cierpienia. Miałem jednak szczęście, przeżyłem mimo wielokrotnych przeciwności losu.

Całe moje szczeniące życie przebiegało na Powiślu. Tam się urodziłem – w dniu 2 stycznia 1929 roku – chodziłem do szkoły i przeżyłem okupację.

Powiśle i ludzie tam mieszkający utworzyli specyficzny charakter tej dzielnicy. W szkole bratała się młodzież z różnych warstw społecznych, byli przyjaciółmi syn woźnicy z Solca i syn urzędnika państwowego ze Smulikowskiego. Dorośli też żyli w przyjaźni a dozorca był autorytetem, szczególnie dla dzieciarni. Mieszkałem na Tamce przy Solcu czyli w samym sercu sklepików, zakładów rzemieślniczych, warsztatików, stajni i magazynów. Sądzę, że ta atmosfera współżycia ludzi, chęci pomocy pomogła przetrwać trudne chwile okupacji. Wszyscy się znali i konfident nie miał tam możliwości się kręcić.

Na wiosnę 1939 (byłem uczniem III klasy szkoły powszechnej przy ulicy Drewnianej) nastąpił ważny w moim życiu moment, zostałem przyjęty do drużyny ZUCHÓW, przedszkola Związku Harcerstwa Polskiego. Pamiętam, z jaką dumą siedłem z moją mamą kupić mundurek i chustę o barwach drużyny. Wyprosiłem ażeby mama kupiła mi także finkę – mimo, że nam zuchom nie wolno było nosić noża przy pasie. Ta finka zachowała się do dziś i stanowi jedyną pamiątkę z tamtych lat.

Nastąpił wrzesień 1939 roku. Ojciec – podoficer artylerii armii generała. Hallera – wysłany został służbowo na wschodnie tereny Polski. Zostałem z mamą, starsza siostra przebywała u dziadków na Pradze. Chyba nie zdawałem sobie sprawy z nadchodzących kłopotów. Było ciężko, mama – jak większość matek – nie pracowała, a jeść coś trzeba. Przyszła zima, ojciec nie daje znaku życia. Firma, gdzie pracował, niechętnie udziela skromnych zapomóg. Dozorca poradził mamie, że jestem na tyle dorosły – mam przecież 11 lat, że mógłbym coś zarobić, na przykład sprzedając papierosy. Załatwiono mi możliwość zakupu papierosów z pewną bonifikatą w sklepiku na Topiel i – co najważniejsze – miejsce do stania i sprzedawania przy wejściu do elektrowni. Leciąłem z papierosami pod wejście a musiałem tam być o godzinie 5.30 rano, później wracałem do domu na śniadanie i następnie na godzinę 8.00 do szkoły. Byłem dumny z moich pierwszych zarobionych pieniędzy. Przeszła zima, przyszła wiosna.

Na wiosnę 1940 roku dawni członkowie drużyny Zuchów – nieformalnie nadal byliśmy i czuliśmy się harcerzami – otrzymali zadania pomocy rannym żołnierzom przebywającym w szpitalu Ujazdowskim. O określonej godzinie każdy z nas szedł pod określony adres (ja na Nowy Świat), gdzie odbierał w menażce obiad dla określonego żołnierza i starał się jak najszybciej – aby nie ostygł – zanieść. Było to nie do wytrzymania, byłem stale głodny a tu pięknie pachną skwarki i kotlet na kartoflach. Gdybym

poprosił kucharkę na pewno coś bym dostał do zjedzenia, lecz nie wypadło a jej nie przyszło do głowy, że mogę być głodny. W szpitalu pomagałem żołnierzom – jak to się mówi – przynieś, wynieś, pozamiataj.

Latem 1940 roku szczęśliwie wrócił ojciec, wędrował z okolic Lidy przekraczając nielegalnie kordony. Naturalnie wpłynęło to na poprawę naszej sytuacji finansowej, ja po pewnym czasie przestałem do-rabiać.

Jesienią 1940 roku w szkole zostały zorganizowane przez naszego nauczyciela wychowania fizycznego zajęcia sportowe. Naturalnie największym powodzeniem cieszyły się „bijatyki” w prawdziwych bokerskich rękawicach. Z wychowawcą losy złączyły nas na dłużej, aż do jego tragicznej śmierci w grudniu 1943 roku (rozstrzelany w publicznej egzekucji na Nowym Świecie). Była to postać nieprzeciętną, pełen życia i chęci współpracy z młodzieżą. Antoni Szwarcerizer, wysiedlony z Bydgoszczy, prawnik, miał wtedy 27 lat. Biednie ubrany, żona zacharowana, aby coś zarobić na życie – przecież mąż jak mówiła nie ma czasu – ciągle jest zajęty młodzieżą. Jak się później okazało członek Związku Walki Zbrojnej, plutonowy podchorąży.

W roku 1941 właśnie on zorganizował dla wybranej grupy uczniów komplety tajnego nauczania historii, geografii i literatury, organizował także wspólne wycieczki poza Warszawę wprowadzając nas w podstawowe wiadomości o topografii. Poza „oficjalnym” kursem tajnego nauczania wiele czasu poświęcał na rozmowy – przeważnie w jego mieszkaniu na facjacie przy Czerwonego Krzyża. Jak teraz to rozumiem, rozmowy miały za cel przybliżenie nam cech patriotyzmu, sięgając do dawnych czasów konspiracji i powstań.

W międzyczasie grupa nasza rozrosła się, wchłaniając dziewczęta i chłopców z innych szkół, liczyła około 60 osób.

Pod koniec 1941 roku w naszym dosyć spokojnym życiu nastąpił zasadniczy przełom. Nasz wychowawca przeprowadził indywidualne rozmowy z wybranymi chłopakami i dziewczętami proponując wstąpienie do tajnej organizacji pod nazwą Związek Walki Zbrojnej. Większość z naszej „paczki” z Powiśla dostąpiła tego zaszczytu i znaleźliśmy się w strukturach Związku Walki Zbrojnej. Tak powstał pluton 113 III Zgrupowania „Konrad” ZWZ-AK z dowódcą ps. „Sobiechowski” na czele.

Uroczysta przysięga na wiosnę 1942 roku, to przeżycie niezapomniane. Z tą chwilą doszły nowe obowiązki, szczególnie w zakresie szkolenia, jak topografia, łączność oraz podstawowe uzbrojenie piechoty. Dzisiaj może wydawać się to nieprawdopodobne, lecz szkolenie o broni odbywało się w wielu przypadkach z bezpośrednim dostępem do danego pistoletu czy granatu. W lecie 1942 roku nasza grupa „objęła w posiadanie” klub wioślarski Urzędników Bankowych – po praskiej stronie Wisły, gdzie intendentem został nasz dowódca. Była to fajna zabawa i jednocześnie praca. Zabawa, bo mogliśmy pływać łódkami, praca bo reperowaliśmy i malowaliśmy łodzie, porządkowaliśmy teren klubu i plaży, dziewczęta w niedzielę sprzedawały bilety na plażę. Ustanowiono dyżury chłopaków, którzy łodzią tak zwaną puchówką przewozili wcześniej awizowanych gości przez Wisłę. W większości byli to różni konspiratorzy, którzy na terenie klubu planowali spotkania. Z czasem na terenie klubu odbywało się przestrzeliwanie broni, my wtedy wytwarzaliśmy odpowiedni hałas, np. rozbijając młotem kamienie albo „strzelając” deskami. W takich momentach byliśmy także pod ochroną policjantów z Komisariatu Wodnego, którzy kręcili się w okolicy. Ponieważ przebywając na przystani trzeba było coś jeść, poprzez RGO zostało załatwione otrzymywanie zupy i coś do tego z kuchni klasztoru żeńskiego przy ulicy Dobrej.

Od połowy 1942 roku doszły nowe zadania, poważniejsze, bardzo odpowiedzialne. Zostałem etatowym kolporterem prasy konspiracyjnej, którą odbierałem z punktu rozdzielczego przy ulicy Marszałkowskiej nr 123 i przenosiłem do naszego obszaru to znaczy na Powiśle. Jednocześnie pełniłem dosyć często funkcję łącznika dowódcy zgrupowania, który w owym czasie pracował w Banku PKO przy ulicy Świętokrzyskiej a mieszkał na zapleczu placu Narutowicza. Jak przy tym wyglądała nauka lepiej nie pytać, jakoś dawałem sobie radę i nawet na niezłych ocenach zdawałem do następnej klasy.

Nadszedł rok 1943 – moje zadania zostały zwiększone, dostawałem polecenia przenoszenia broni. Mimo że przenoszenie prasy konspiracyjnej było trudne i w przypadku złapania „lądowało” się co najmniej w obozie, to przenoszenie broni była to już bardzo poważna sprawa. Muszę się przyznać, że najbardziej się bałem gdy przyszło mi przenosić broń z Pragi do Warszawy lub odwrotnie. Jakoś na ulicach czułem się bardziej bezpiecznie niż przy przekraczaniu mostu. Przeżywałem różne sytuacje, lecz jak widać udawało się. Kiedyś na moście Kierbedzia przenosząc pistolet bez amunicji (co mnie w efekcie uratowało) zostałem zatrzymany przez żandarma. Gdyby pistolet był z amunicją, podjąłbym próbę być pierwszym w strzelaniu, a tak – czekałem, żandarm zapytał mnie (a znałem podstawy języka niemieckiego) – „czy masz zapałki?”. Ponieważ nie miałem, kazał iść dalej. Na pewno on mając pistolet maszynowy pod pachą byłby pierwszy niż ja, z pistoletem za paskiem spodni pod kurtką.

Drugim razem dostałem się w kocioł na Wspólnej, jakiś nasz biedak ostrzeliwał się z dachu kamienicy. Szczęściem było to w okolicy domu, gdzie mieszkała koleżanka z naszej grupy, przeczekaliśmy u niej.

W domu byłem gościem, zresztą mój ojciec także, jak się później dowiedziałem aktywnie działał w konspiracji w strukturach nazwijmy to transportu, przewoził ludzi wyciągniętych z obozów w Lubelskim. W domu gospodarowała mama, która z kolei udostępniała mieszkanie na szkolenia i odprawy różnego szczebla. Konspiracja konspiracją, lecz szczególnie dozorca świetnie się orientował do kogo idą „obszarpańcy” lub elegancy panowie. Jeśli ktoś rozglądał się, gdzie wejść, to on oparty zawsze o miotłę dostojnie wskazywał odpowiednią klatkę.

Nadszedł dla mnie uroczysty dzień. W połowie sierpnia 1943 roku zostałem awansowany na stopień starszego strzelca i ustanowiony oficjalnie dowódcą sekcji. Z tej okazji jedna z koleżanek wręczała mi bukiet kwiatów. Do powstania leżał zasuszony na piecu kaflowym w pokoju.

Nadszedł jednak dla naszej rodziny tragiczny dzień. W dniu 23 października 1943 roku, bezpośrednio po przyjeździe z trasy i wejściu do mieszkania został aresztowany mój ojciec. Gestapowcy wlecieli jeszcze w otwarte drzwi, musieli widać czekać powyżej na schodach. Mnie nie zauważyli, zasłoniły mnie drzwi w przedpokoju. Nie robiąc nawet rewizji w jednej chwili opuścili mieszkanie, zabierając ojca.

Następnego dnia udaliśmy się z mamą na Pawiak z paczką zawierającą bieliznę i trochę ubrania. Przyjęcie paczki oznaczało, że ojciec jest na Pawiaku. Paczki nie przyjęto, czyli nie ma go pod nazwiskiem na Pawiaku. Po kilku miesiącach otrzymaliśmy kartę pocztową z obozu koncentracyjnego Gusen. Jak się po wojnie okazało w dniu 5 października 1943 roku z oznaczeniem „Sch. Pol.” czyli więzień polityczny z numerem 45148 został wysłany do obozu.

Ukończyłem szkołę powszechną (7 klas) i zostałem z całą grupą skierowany do tajnego gimnazjum im. Rejtana, które funkcjonowało jako Obowiązkowa Ogrodnicza Szkoła Zawodowa nr VII, ul. Śniadecka nr 8.

Trzeba było ponownie pomyśleć o znalezieniu źródła zarobku, miałem już przecież prawie 15 lat – czyli możliwości większe niż na początku wojny. Dowódca zgrupowania przydzielił mi pracę zarobkową w sklepie hurtowo-detalicznym wyrobów szklanych i fajansowych, który mieścił się w oficynie domu przy ulicy Marszałkowskiej 123. Sklep był mi znany, bo tam odbierałem prasę konspiracyjną. Teraz rola się zmieniła, ja wydawałem prasę przychodzącym łącznikom, odbierałem przyniesioną i pakowałem prawdziwym klientom zakupione np. kilka tuzinów talerzy. Pakowanie ładne okrągłych talerzy wcale nie było łatwe. Właściciel sklepu, a jednocześnie oficer, dowódca plutonu w naszym Zgrupowaniu, przychodził przeważnie dopiero około godziny 15 a ja leciałem do szkoły. Ponieważ moje zarobki były słabe – szczególnie gdy coś stłukłem i potrącono mi wartość wynagrodzenia, ktoś poradził mamie, żeby robić papierosy dla wskazanych odbiorców. Mama kupowała gilzy i tytoń, ja po przyjściu ze szkoły siadałem do roboty. Na wszystko było mało czasu a uczyć się trzeba. Chodziłem do drugiej klasy gimnazjum a przecież miałem także przedmioty zawodowe. Początki robienia papierosów były bardzo trudne, gilzy pękały jedna po drugiej. No, z czasem nabrałem takiej wprawy, że pudełko 150 gilz robiłem w czasie 40 minut, naturalnie wykorzystując jednocześnie czas na naukę – opierałem książkę np. do łaciny o karbidówkę i jakoś to szło.

Przyszła wiosna 1944 roku, zostałem skierowany na kursy podoficerskie. Coraz trudniej było się zmieścić w czasie, tym bardziej, że profesorowie byli bardzo wymagający i nie stosowali taryfy ulgowej. Koledzy, którzy dysponowali czasem, starali się pomóc, nie zawsze z korzyścią dla obu stron. Polonista pewnego razu zadał napisanie wypracowania w domu, ja nie napisałem. Gdy profesor wywołał mnie, abym odczytał, kolega podsunął mi swój zeszyt. Czytam i dostaję zaliczenie na 4. Ale za moment profesor wskazuje uczynnego sąsiada i poleca mu odczytać swoje. On mówi, że szkoda czasu, bo ma podobnie opracowany temat, ponieważ mieszkając obok siebie uczymy się razem. Poleca mu odczytać, biedak w końcu wyjąkał, że mamy napisane w jednym egzemplarzu. Werdykt profesora – macie 4 wspólnie na dwóch czyli po 2. Kolega był załamany, był prymusem w szkole.

Musiałem być także chirurgiem. Pewnego dnia w kilku byliśmy z zadaniem poza Warszawą, w pewnym momencie musimy przeskakiwać rów z wodą, jeden z kolegów się poślizgnął i pistolet wystrzelił, kula trafiła drugiemu w stopę. Kaliber mały, więc kula pozostała między stopą a podeszwą. Kolega kuśtyka podtrzymywany, kierujemy się do kolejki dojazdowej a następnie z dworca do jego domu dorożką. Noga napuchła, krew chlupie, buta nie można ściągnąć, aby chociaż wstępnie zabandażować. Na mnie wypadło, że mam oderwać podeszwę. Koledzy trzymają go za nogę, a ja obcęgami odrywam podeszwę od buta, po oderwaniu widać duży kawał pocisku na wierzchu, chwytam obcęgami i wyciągam kulę. Po kilku godzinach przyszedł lekarz, który jak mógł, poprawił moją robotę. Długo trwało gojenie, lecz na szczęście nie stracił nogi, czego się lekarz po moim zabiegu obawiał.

Gdzieś w lipcu zdawaliśmy egzaminy z kursu podoficerskiego. Egzaminował osobiście mjr „Róg” – dowódca naszych kilku zgrupowań. Był to już jednak czas nadchodzącego powstania i jakoś na nikim z nas to zaliczenie kursu nie wywarło specjalnego wrażenia.

Pewnego dnia pracując w sklepie, mając otrzymaną prasę jeszcze nie wydaną w całości, przeżyłem rewizję w magazynie sklepu. Gestapowcy wlecieli za normalnym –jak mi się wydawało – klientem. Byłem cały mokry ze strachu, no, ale nic nie znaleźli. Klienta zabrali, po wojnie dowiedziałem się, że

obok w restauracji był punkt kontaktowy naszego wywiadu i w razie zagrożenia mieli korzystać z tego sklepu jako klienci. No cóż, jemu się nie udało.

1 sierpnia 1944 roku rano – ja i kilku moich kolegów – otrzymujemy rozkaz udania się do kwatery majora „Roga” na plac Grzybowski. Pierwsze strzały i oczekiwania co dalej. W dniu 2 sierpnia major „Róg” wręcza mi na piśmie rozkaz dla dowódcy mojego zgrupowania oraz wielką ciężką pakę z amunicją do karabinu. Leje deszcz. Podchodzę do Zielnej, którą muszę przeskoczyć. Leży kilku zabitych, przez całą szerokość ulicy, strzelają z budynku Pasty do każdego, który się wychyli. Chwila wahania, odbicie i udało się przeskoczyć. Teraz w kierunku Powiśla już znanymi zaułkami. W zgrupowaniu wielkie zdziwienie, jak udało mi się dojść.

Z drużyny łączników zostaje przeniesiony do drużyny strzeleckiej plutonu nr 112. Otrzymuję piękny karabin typu Mauser w miejsce karabinka Manlicher, który wcześniej otrzymałem od wdowy po naszym dowódcy i przechowywałem w mieszkaniu. Trwają różne akcje, w których biorę udział: przyczółki mostowe, teatr Ateneum, Szpital Czerwonego Krzyża. W dniu 10 sierpnia zostaję ranny w szyję. Wygląda groźnie, lecz na szczęście trafiło mnie centymetr od grubej żyły, której chyba by nie załatali. Po kilku dniach wracam do służby. Czuję się dobrze, jedynie nie mogę ruszać głową. Odwiedzam mamę, bardzo przejętą moją zabandażowaną szyją. Nic nie wiem o siostrze, która jest sanitariuszką noszową w plutonie 566 Zgrupowania „Żywiciel”. Jak się po wojnie dowiedziałem została schwytana w czasie patrolu sanitarnego przez Niemców i osadzona w obozie koncentracyjnym Bergen-Belsen. Zmarła w czerwcu 1945 roku – skończyła właśnie 20 lat.

Trwa walka na Powiślu, bronimy się na linii Lipowa, Dobra, Leszczyńska, Browarna, teren zaczyna się kurczyć. Bazę mamy na Smulikowskiego, ostrzeliwuje nas artyleria ustawiona 50 metrów od nas na terenie ogródków Jordanowskich – czyli bezpośrednio przy brzegu Wisły.

Nadszedł wrzesień, Zgrupowanie wycofuje się poprzez teren Ogrodów Zakonnice (na tyłach Tamki) w kierunku ulicy Pierackiego. Bardzo silny ogień karabinów maszynowych z wiaduktu mostu Poniatowskiego (jesteśmy widoczni jak na patelni) i bombardowanie „krowami”. Palą się zabudowania szpitala. Bronimy się na Okrąg, Szczygłej, Kopernika – płoną kamienice.

Resztki naszego Zgrupowania zostają wycofane na ulicę Zgoda – tam przydzielone są kwatery. I znów na linii: Świętokrzyska, Czackiego, ruiny Poczty Głównej. Na Poczcie Głównej zostają przysypa-ny i ranny w głowę. Koledzy mnie wyciągają i przeciągają przez plac. Po kilku dniach wracam do służby, źle słyszę, z uszu cieknie ropa, głowa zabandażowana, nie mieści się hełm. Po kilku dniach zostaję skierowany na „spokojną” placówkę na ulicę Górskiego.

Wzywa mnie dowódca Zgrupowania III porucznik „Konrad” i pyta co wole: Krzyż Walecznych czy awans do stopnia kaprała. Wybrałem kaprała, ponieważ –jak słyszałem – ochotnik i jednocześnie podoficer może kształcić się na koszt armii. Tak to uwarunkowania finansowe przeważały nad zaszczytem. Z dniem 2 X 1944 roku rozkazem Komendanta I Obwodu nr A 62 zostałem awansowany do stopnia kaprała.

Kapitulacja, resztki Zgrupowania idą do niewoli. Przebywam kolejno w obozach XI B Falingbostel, VI J Dorsten, Komando Pracy 956 Munchen Gladback. Po przybyciu do pierwszego obozu – Falingbostel – przekonałem się, że jesteśmy całkowicie nie przygotowani do pobytu. Nikomu do głowy nie przyszło, żeby zabrać ze sobą łyżkę i jakieś naczynie na przydzielaną zupę. W końcu udaje mi się odkupić od „starszych” obozowiczów puszkę po lakierze – śmierdzi strasznie. Przenoszą nas kolejno z obozu do obozu, ciągle rewizje, zabierają, co chcą. W końcu jestem przeniesiony do komanda pracy. Praca od rana do wieczora, ciężka, bo na przykład uprzątnięcie rozwalonych torów kolejowych. Trudno podnieść długi odcinek szyny.

W dniu 15 XII 1944 roku uciekam z kolegą z Batalionu „Wigry” z obozu w kierunku frontu, który przebiega przez terytorium Holandii. Szczegółowy opis ucieczki według relacji spisanej przez współtowarzysza przedkładam w załączeniu[†]. Po kilku dniach zostajemy złapani i przekazani do poprzedniego miejsca pobytu. Wsadzili nas do bunkra, z którego mnie już wynoszą nieprzytomnego. Nawet nie wiedziałem, że chorowałem. Pewien okres czasu uciekł z mojej świadomości.

Głodno, chłodno i bardzo ciężka praca. Mnie rozleciały się buty. Dostałem tak zwane holenderki to jest drewniane sapogi. One pięknie wyglądają na kolorowych zdjęciach reklamowych w Holandii, lecz chodzić w tym po zwałach śniegu, ciągnąc jednocześnie w kilku wóz z butlami tlenowymi do palników to tragedia. Śnieg się podbija pod obcasem i wykręcają się stopy.

Nadchodzi wiosna, rusza front. W dniu 27 lutego 1945 roku rozpoczyna się ewakuacja, idziemy na piechotę w dzień, noc, prawie bez jedzenia. W dniu 9 IV 1945 roku koło miejscowości Alhden uciekam. Tym razem się udało. Następnego dnia spotykam czołgi angielskie. Wędrówka trwała nieprzerwanie 42 dni.

[†] razem z rękopisem złożony w Muzeum Niepodległości w Warszawie (przyp. red.)

W dniu 15 kwietnia 1945 roku w miejscowości Nienburg oficer łącznikowy wystawia mi legitymację „Polskie Siły Zbrojne – były jeńiec wojenny” kapral 36 pp Legii Akademickiej AK ps. „Andrzej”.
Tak kończy się pewien etap mojego życia.